

IZA CYWIŃSKA

SPOJRZENIE Z BLISKA

Znałam ją od mojego „zawsze”. Zanim się urodziłam, mieszkała przez rok u moich rodziców na Kampinoskiej na wrocławskich Krzykach, gdzie ukończyła szkołę podstawową. To w moim domu Iza spotkała teatr.

W tym czasie jej rodzice (a raczej jej mama zamężna z bratem nieżyjącego ojca Izy – ukochanym przez Izę i jej siostrę Stryjkiem) mieszkali gdzieś koło Kamieńca i nieporadnie, z ogromnymi trudnościami próbowali przystosować się do życia w PRL-u.

Babcia Izy i mój dziadek byli rodzeństwem. Odczuwałyśmy to jako pokrewieństwo bardzo bliskie. Znaczyło, że można było pojawić się na obiedzie bez uprzedzenia, zajrzeć do spiżarni krewniaków i do szafy, wyrazić wobec czegoś swoją dezaprobatę bez obawy, że ktoś poczuje się urażony. Takie relacje zobowiązywały do częstych kontaktów i wzajemnej pomocy. Była to zarówno sympatia, jak i solidarność, wzmocnione wspólną – marną – dolą przedwojennych ziemiańskich kresowych rodzin.

Nie znałam Izy-studentki etnografii ani Izy-pasjonatki żeglarstwa. Mieszkałyśmy wtedy w innych miastach i rzadko miałyśmy ze sobą kontakt. Zapamiętałam ją z czasu, gdy znalazła się w Szkole Teatralnej i zamieszkała w Warszawie. Wyszła za mąż za swojego profesora Jurka Adamskiego – uroczego i błyskotliwego historyka literatury i teatru, doskonale zaadaptowanego do rodziny. Jeździłam do nich do Warszawy i nocowałam w przytulnej kuchni ich małego mieszkanka na Bielanach. Było przez Izę zaaranżowane jak teatralna scenografia. Każde wnętrze, w którym Iza mieszkała choć przez kilka dni, sta-

wało się małym teatrem. Za oknem, na rogu Kasprowicza stał zaparkowany ich oryginalny samochód – messerschmitt. Byłam przekonana, że został zmontowany z demobilu kadłuba samolotu, czego chyba Jurek i Iza nie demontowali. Kierowca i pasażer wchodzili do niego „od góry” jak piloci i usadawiali się jeden za drugim. Samochód najczęściej stał, bo niemal bez przerwy był zepsuty.

Iza zawsze miała potrzebę uczestnictwa w aktualności, w sprawach współczesnych. Gdy coś się działo – wołała „Jestem!”. Chciała czy wręcz musiała być sprawcza. W czerwcu '56, gdy usłyszała, że w Poznaniu ludzie gromadzą się na ulicach, natychmiast wsiadła w pociąg i tam pojechała. Chciała być świadkiem nie tyle z ciekawości, ile z przekonania, że trzeba być tam, gdzie można odczuć, jak toczy się historia.

Potem był teatr w Kaliszu – mogła dobrać sobie zespół. To był ważny klucz do sukcesu. Mój Tato od początku jeździł na spektakle Izy. Kibicował jej i cieszył się, że odnosi sukcesy! Była między nimi jakaś sekretna nić porozumienia. Był ostatnim, który nazywał Izę zdrobniałym rodzinnym imieniem „Puńcia”. Z każdych wakacji i z każdego dłuższego wyjazdu Puńcia wysyłała do Tunia widokówki.

Nie dojechałam do Kalisza, ale potem kilkakrotnie widziałam jej przedstawienia w Poznaniu. Było o nich głośno. Dumna byłam, że mnie zapraszała. Na spektaklu

Oskarżony: Czerwiec Pięćdziesiąt sześć (1981) czułam się jak uczestnik ważnej manifestacji politycznej.

Nazwała swój teatr „teatrem politycznej aluzji”. Poprzez teatr zabierała głos na tematy, którymi żyła Polska. Wtrącała się za pomocą sceny, robiła to z żarem i aktorów też ten żar ogarniał. Tworzyli nie tylko wspólnotę artystyczną, lecz także wspólnotę przekonań.

Teatr Cywińskiej stał się ważną polską sceną teatralną. Balansowała na linie. Potrafiła rozmawiać z cenzorami i z partyjniakami z Komitetu Wojewódzkiego. Nieraz piła z nimi wódkę, a głowę miała tęgą. Może jej wtedy to wyrzucano. Bimbała sobie z wyrzutów. Zależało jej przede wszystkim na tym, żeby językiem sztuki mówić do publiczności wyraziście i atrakcyjnie, przekazywać to, co uważała za istotne. Żeby mówić odważnie. Wódkę z notablem wypijała i nieraz przeszła „na ty”, ale to, co miało być w spektaklu – musiało pozostać.

Z drugiej strony szukała w teatrze ścieżek uczuć, sposobów dotarcia do „duży”.

Fascynowała ją rosyjska literatura. Rosyjski był jedynym obcym językiem, w którym dość swobodnie się poruszała. Iza – taka racjonalna i konkretna – kochała sztuki Czechowa i Bułhakowa. Były dla niej momentami skupienia i zatrzymania, wewnętrznym dialogiem z przeszłością. To były w jakimś sensie dzieła intymne. Podobnie podchodziła do uwielbianych książek Wiesława Myślińskiego i Hanny Krall. Niektóre z nich przeniosła do swojego teatru lub telewizji. W ostatniej fazie życia marzyła, żeby zmierzyć się z tymi autorami ponownie.

Wtedy, w Poznaniu, rzecz jasna nie miała żadnych aspiracji politycznych. Któż je mógł mieć?

Po spektaklu *Oskarżony: Czerwiec Pięćdziesiąt sześć* mogła spodziewać się uwięzienia (i rzeczywiście – została w stanie wojennym internowana), ale nie śmiała przypuszczać, że może zostać ministrem. To już nie był teatr. Funkcji ministra nie uznawała za „rolę”. Mogłam obserwować, jak ją polityka pochłania. Zostałam jej asystentką, oficjalnie zajmowałam się projektami przygotowującymi Polskę do europejskich struktur, ale byłam też „od wszystkiego”. Podobnie

jak Maciek Nowak. Oboje czuliśmy, że oto tworzy się historia i cieszyło nas, że prawdziwa pani minister miała do nas bezgraniczne zaufanie. Byliśmy nieporadnymi amatorami, ale odważnie podrzucaliśmy jej pomysły, redagowaliśmy przemówienia. A przede wszystkim chroniliśmy ją przed lawiną interesantów. Nie zawsze skutecznie. Rzucili się bowiem znajomi, przyjaciele i dawni współpracownicy z pomysłami (które chowali „na lepsze czasy”). Trudno było Izę przed tą lawiną ustrzec.

Napływały dziesiątki listów z radami, prośbami: od autorytetów, od „prostych” ludzi, od artystów i potomków arystokratów. Ktoś na mnie uparcie napierał, żeby Iza koniecznie jak najszybciej rozebrała kawałek asfaltowej szosy w Wielkopolsce, bo słyszał, że pod nią znajdują się zrabowane przez Prusaków regalia...

Czas, w którym znalazła się w rządzie, rozgrzał jej ambicje. Powiedziała mi wtedy, iż trudno jej się przyznać do tego, że teatr stał się dla niej mało ważny, że czuje się już gdzie indziej, a na teatr patrzy z dystansu. Miała wrażenie, że mówienie z teatralnej sceny właściwie nie wymaga rzeczowej odpowiedzialności. Nie jest sprawcze, nie może zmienić świata, najwyżej czasami zmienia u jakiegoś widza myślenie o świecie.

Przypominałam jej o tym w niedawnej rozmowie. Zdziwiła się!

– No może teraz z dystansu tak bym tego nie ujęła – odparła.

Była dumna ze swoich przodków – przede wszystkim z czynnych polityków: Wojciecha Dzierżyskiego i – jego zięcia – Konrada Łuszczewskiego. Powiesiła ich portrety nad domowym biurkiem. Ceniła ich za patriotyczną aktywność, nie za majątek, pozycje czy intelekt.

Czerpała ze swojego dziedzictwa – z tradycji polskiego ziemiaństwa, z kresowej kultury. Rozumiała jej urok i jej urodę, ale do niej nie tęskniła. Odcinała się i postanowiła, że nie będzie cierpieć. Twarda była, nie ujawniała słabości.

Po wizycie w dawnym rodzinnym majątku zapisała w notesie wersalikami dwa zdania: WESZŁAM W TE CHASZCZE I PŁAKAŁAM CICHUTKO. CZY TRZEBA BYŁO WSZYSTKO TAK ZNISZCZYĆ?

Zrozumiała wtedy coś dla niej ważnego: że ciągłość kultury i jej rodzinna tradycja urwała się nie przez wojnę, ani nawet nie przez kopnięcie rosyjskim butem, ale przez swoich, co jest dowodem na to, że z tą wspólnotą było coś nie tak.

Właśnie takie myśli skrywał serial *Boża podszewka* (1997). Rozpętał on w kraju dyskusję o dziedzictwie i pamięci. Posypały się na Iżę gromy, niemal egzorcyzmy. Ale wszyscy *Bożą podszewkę* oglądali. Bo była dobrze wyreżyserowana, świetnie obsadzona. Drażniła i wzruszała. Była „swojska”.

Iza kochała robienie filmów. Jeśli liczyć filmy i spektakle telewizyjne, w sumie zrealizowała ich czterdzieści! Jej ostatnia reżyseria to telewizyjny *Wiśniowy sad* (2013). „To ja jestem Rażniewską” – wyznała.

Jak nad wszystkim, z pasją pracowała nad autobiograficzną książką *Dziewczyzna z Kamienia*. Wiele w niej zawarła. Jest w niej znakomicie oddany proces zmian zachodzących w obyczajowości i kulturze Polaków drugiej połowy XX wieku, jest świetnie uchwycony dramatyczny koniec klasy ziemianstwa, jest niezmiernie ciekawa auto-refleksja i wiele barwnie opisanych osób i faktów, oddających różnorodność i klimat środowiska polskiej inteligencji. A ponadto znalazło się w niej przypomnienie ważnych wydarzeń kulturalnych i czasu, w którym teatr odbijał rzeczywistość, stanowił refleksję i poruszał do działania. To unikalny zapis – jednocześnie osobisty i z dystansem. A ponadto książka napisana piękną polszczyzną. Ostatni długi rozdział poświęciła *Bożej podszewce*, analizując swoją pracę nad serialem i jego recepcję. Uwzględniła wszelkie aspekty tego dzieła.

Ostatni etap teatralny – Teatr Ateneum w Warszawie – sama uznała za niefortunny. Niby rzuciła się w dyktowanie z całą energią, ale coś wyszło nie tak. Nie czuła więzi z zespołem.

W tym okresie chodziłam z nią często do warszawskich teatrów. Była ciekawa młodego pokolenia, chciała iść z młodymi w jednym szeregu. Koniecznie. Ale to był już świat, do którego nie miała dostępu. Przekonała się, że biegnie innym torem, chociaż też, tak jak

nowi twórcy, nieustannie próbowała łamać konwencje.

W liście do uczestników Forum Przyszłości Kultury (1922) napisała: *Kultura zawsze wymaga przekraczania tego, co było, i tego, co jest – przekraczania dotychczasowych sposobów myślenia, istniejących konwencji, obyczajów, sposobów komunikacji, dotychczasowego ładu. Nie da jej się całkowicie oderwać od tradycji, bo stanie się niezrozumiała. Ale uważa! Aleksander Świętochowski, nasz wybitny humanista ostrzegał: tradycja może stać się polipem na ludzkich mózgach. Powinna być szanowana, ale nie powinna zasłaniać nam nowego.*

Byłam u niej ostatnio częstym gościem. Jeśli nie wizyta, to przynajmniej telefon – krótka konkretna wymiana zdań i lakoniczne maile. Pasjonowała ją bardziej polityka niż sztuka. I jak zawsze – wierzyła w siebie.

Wszystko co mam, co osiągnęłam, zawdzięczę mojemu optymizmowi – napisała.

Mam wrażenie, że odkryłam źródło tego optymizmu, sekret jej życiowych sukcesów. Iza była zdolna, ładna, pracowita i odważna. Ale było jeszcze coś innego, coś, co sięgało czasów dzieciństwa. Dzieciństwo Izy było trudne, wojenne, biedne, ale ona i jej siostra żyły otoczone miłością, czułością i skrawkami ocalonego piękna, jak w kokonie.

Trochę podświadomie, a trochę świadomie Iza uczyniła z tego życiową zasadę: trzeba zawsze być w zasięgu osób kochających i jednocześnie kochanych. Tych kilka bliskich osób to była jej trampolina do akcji. Czuła, że jest dla nich ważna i fantastycznie oddawała to uczucie. W różnych etapach życia to byli różni ludzie: mąż Jurek i mąż Janusz, jej siostra, mój ojciec, przyjaciele i przyjaciółki. Aktorzy, plastycy, muzycy i pisarze, z którymi prowadziła długie telefoniczne rozmowy. Starła się być dla nich zachwycająca i sama się nimi zachwycała. To przede wszystkim z ich przyjaźni pełnej przywiązania i porozumienia, czerpała radość życia – także wtedy, gdy dookoła nie było radośnie albo gdy marnie się czuła.

Nie będę pamiętała, jak bardzo ją bolało, będę pamiętała, że była dla mnie ważna i wytrwała w dzielności.

Małgorzata Dzieduszycka-Ziemilska